

**Zofia Szalczyk z domu Karoń**

## **Studia na WSR w Poznaniu w moich wspomnieniach Zbiór opowiadań Część 1.**

*„Lubię wracać w strony, które znam,  
po wspomnienia zostawione tam,  
by się przejrzeć w nich, odnaleźć w nich,  
choćby nikły cień pierwszych serca drzeń...”*

Wojciech Młynarski

Jest niedziela 27 kwietnia 2020 roku, siedzę w domu przymuszona pandemią COVID 19 i zastanawiam się, jak pożytecznie wykorzystać nadmiar wolnego czasu. Może spiszę wspomnienia z różnych etapów mojego życia a mam ich nie mało. Bez wątplenia jednym z najpiękniejszych okresów były studia na Wydziale Zootechnicznym Wyższej Szkoły Rolniczej w Poznaniu w latach 1966 -1971. Uczelnia ta dała mi zawód, wprowadziła w dorosłe życie, nauczyła współżycia i współpracy z innymi ludźmi. Sprawiała też, że ja córka Ziemi Częstochowskiej wybrałam Poznań jako moje miejsce na ziemi, szczęśliwe miejsce. Zatem zacznym, oto tak zapamiętałam tamten czas.

Część 1.

### **Matura i co dalej?**

W połowie lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku, nazywanych szalonymi latami lub też dekadą małej stabilizacji Gomułki, a konkretnie w 1966 roku mając zaledwie siedemnaście lat, kończyłam liceum ogólnokształcące nr 5 w Częstochowie. Tuż przed samą maturą, drugiego maja owego roku przeżyłam, podobnie jak tysiące młodych Polaków, cudowne spotkanie milenijne młodzieży na jasnogórskich błoniach. Jakby powiedział Lech Wałęsa naładowałam akumulatory i egzaminy maturalne poszły mi dobrze. Nadszedł czas na podjęcie decyzji co dalej zrobić ze swoim życiem. Mój jedyny Brat Krzysztof Karoń, absolwent Wydziału Zootechnicznego WSR w Poznaniu z 1965 roku, przysłał mi informator dla kandydatów na studia wyższe. Zapoznając się z opisem kierunków kształcenia dostrzegłam notkę o tym, iż absolwenci zootechniki mogą pracować w ogrodach zoologicznych. Od dziecka lubiłam zwierzęta i marzyłam o pracy w najnowocześniejszym w Polsce Ogrodzie Zoologicznym w Chorzowie, w którym byłam wiele razy i bardzo mi podobał się. Pomyślałam, świetnie, ukończę zootechnikę a potem będę pracować w tymże ZOO. Początkowo planowałam naukę na WSR w Krakowie, głównie dlatego, że do tego miasta miałabym z domu łatwy dojazd. Jednak Krzysiu gorąco zachęcał mnie do przyjazdu na studia do

Poznania, Jego zdaniem, najpiękniejszego miasta w Polsce. Ostatecznie wspólnie z Rodzicami zdecydowaliśmy, że złożę dokumenty na WSR w Poznaniu, co uczyniłam, zgodnie z obowiązującymi wówczas zasadami, za pośrednictwem mojego Liceum. Nie byłam pewna czy uda mi się zdać egzaminy wstępne, toteż Krzysiu zgłosił mnie na kurs przygotowawczy do egzaminów wstępnych na tą Uczelnię.

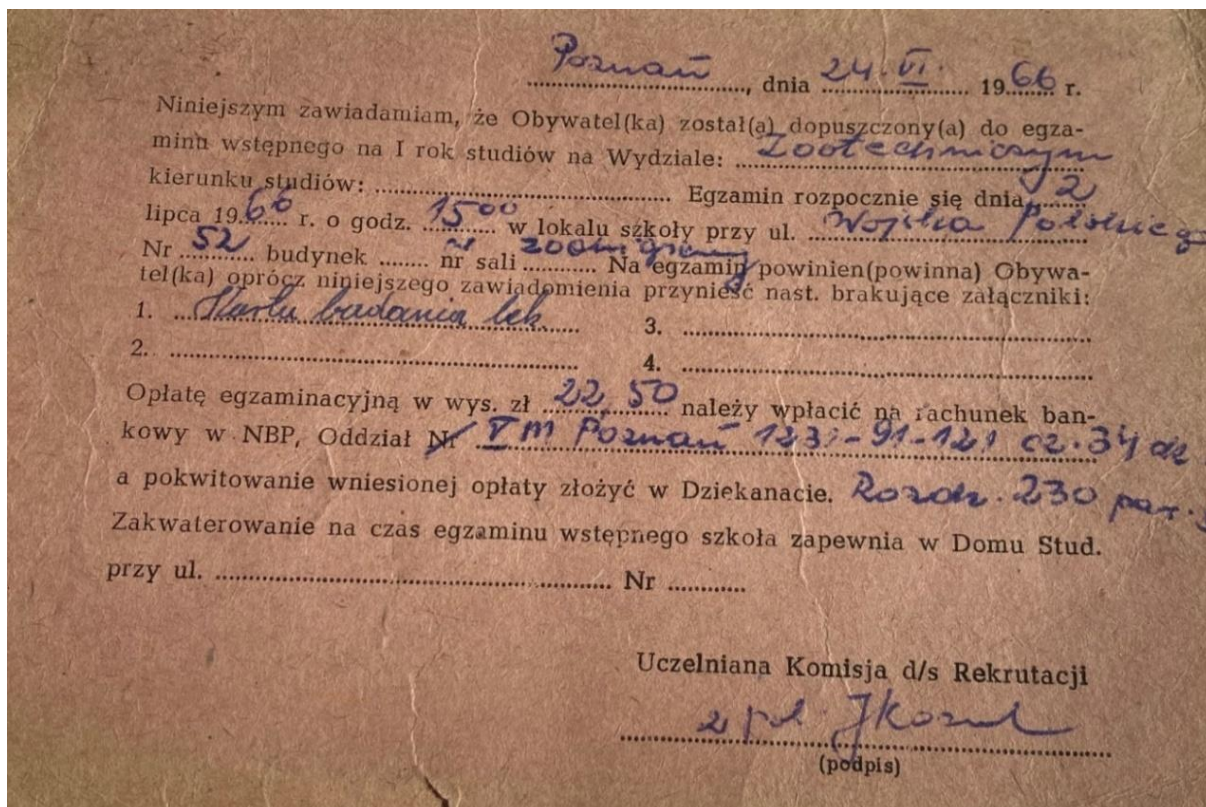
### **Pierwszy kontakt z Poznaniem i Uczelnią**

W niedzielę dwunastego czerwca 1966 roku, w słoneczny dzień, po długiej i męczącej podróży pociągiem z trzema przesiadkami, w samo południe nareszcie dotarłam do Poznania. Właśnie przyjechałam na kurs przygotowawczy organizowany przez WSR. Zapamiętałam tamte chwile na całe życie. Znalazłam się w obcym, dużym mieście liczącym wtedy około 450 tysięcy mieszkańców, nikogo nie znałam, poczułam się zagubiona i bardzo niepewnie. Po wyjściu z dworca głównego, zgodnie ze wskazówkami Braciszka, poszłam na przystanek tramwajowy na ulicy Głogowskiej. Od razu rzucił mi się w oczy znany ze pocztówek budynek z oryginalną iglicą, symbol Międzynarodowych Targów Poznańskich. Po wejściu do zielonego tramwaju nr 11 zwrócił moją uwagę uśmiechnięty i uprzejmy starszy pan konduktor i zrobiło mi się trochę różnie, kupiłam bilet ulgowy za 20 groszy i pojechałam dwa przystanki do Mostu Teatralnego, tam przesiadłam się do szesnastki - tramwaju jadącego na Winogrady. Niestety wysiadłam jeden przystanek za daleko przy ulicy Pasięka. Pieszko doszłam na miejsce. Zmęczona przystanęłam na rogu pomiędzy ulicami Dożynkową i Oziminą i ukazał się moim oczom niezapomniany widok: nowoczesny kompleks budynków krytych czerwoną dachówką, cel mojej podróży osiedle studenckie przy Dożynkowej 9. Zgłosiłam się do punktu informacyjnego w bloku G. Powiedziano mi, iż dostałam zakwaterowanie w domu studenckim A, w pokoju 28. Na zawsze utkwily mi w pamięci wewnętrzne uliczki łączące poszczególne domy studenckie. Gdy tak umęczona podążałam pomiędzy blokami z ciężką walizką wyładowaną książkami i suchym prowiantem do celu widziałam, jak studenci wypoczywali na trawniku, siedzieli na ławeczkach, grali w piłkę. Wydawało mi się, że wszyscy obserwują mnie, ogarnęła mnie jakaś niepojęta trema, nogi mi się plątały. Dzisiaj sama sobie się dziwię, jak mogłam być aż tak bardzo nieśmiała.

Zamieszkałam z trzema studentkami z pierwszego roku Wydziału Zootechnicznego. To one Ewa Kuczyńska, Grażyna Mackiewicz i Dzikka Nowaczyńska pomogły mi nowicjuszcze w oswojeniu się z życiem na

Dożynkowej. Były bardzo sympatyczne i uczynne, zaprowadziły mnie na stołówkę do bloku G, objaśniły jak mam trafić na Golęcín itd. Dobrze mnie rozumiały, bo same rok wcześniej były w podobnej sytuacji. Na kursie, w sali wykładowej Chemii Rolnej na Golęcínie przerabialiśmy tematy z matematyki i biologii. Przerobiliśmy dziesiątki zadań, podobnych do tych, jakie zdarzały się wcześniej na egzaminach wstępnych. Odbyło się też kilka ćwiczeń z języka obcego, w moim przypadku z angielskiego. Słuchaczami kursu byli kandydaci na wszystkie wydziały. Przypominam sobie miłe zaskoczenie formą zwracania się prowadzących zajęcia do nas przez „proszę Państwa”. Poczulałam się dorosła i uświadomiłam sobie jakże symboliczną różnicę pomiędzy nauką w liceum a studiowaniem.

Na kursie poznałam Ninę Paulewicz z Piły też kandydatkę na Wydział Zootechniczny. Polubiłyśmy się. Z nią wybrałam się kilka razy do centrum miasta. Chciałyśmy chociaż trochę poznać miasto, nie byłyśmy pewne czy jeszcze kiedykolwiek tutaj wrócimy. Do miasta jeździłyśmy tramwajem piętnastką lub szesnastką, wysiadałyśmy na Moście Teatralnym a dalej chodziłyśmy pieszo. Poznań lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku nazywany był zielonym miastem, cieszył się opinią bardzo czystego miasta, różnił się od tego jakim go znamy dzisiaj, nawet nazwy niektórych ulic były inne, na przykład ulica Święty Marcin nazywała się Czerwonej Armii a Półwiejska Dzierżyńskiego. Zapamiętałam dobrze ówczesne skrzyżowanie skrzyżowaniu ulic Dąbrowskiego i Roosevelta. Stał tam stary niezbyt zadbanej parterowy budynek, w którym była restauracja „Teatralna” a za nim widać było chlubę Poznania, nowoczesny budynek hotelu „Merkury. Oczywiście miasto bardzo spodobało się nam. Zachwycił nas budynek opery i jego otoczenie, spodobał się powszechny dom towarowy „Okraślak” bogato zaopatrzonej w damską odzież, ale mogłyśmy tylko popatrzeć na wystawiane stroje. Zresztą przyjechałyśmy na egzaminy a nie na zakupy. Jednej niedzieli byłyśmy także w ZOO przy Zwierzynieckiej, które wydawało mi się jakieś małe w porównaniu z chorzowskim ogrodem zoologicznym.



Zawiadomienie z WSR w Poznaniu o egzaminach wstępnych na Wydział Zootechniczny ze zbiorów mojego Męża Tadeusza

Nareszcie nadszedł czas weryfikacji wiedzy. Egzamin wstępne mieliśmy na początku lipca. Byłam niepełnoletnia, nie miałam jeszcze dowodu osobistego, moją tożsamość Komisja Egzaminacyjna sprawdzała na podstawie legitymacji szkolnej. Porządku pilnowali młodzi asystenci. Jednego z nich, Pana Jerzego Szyło, późniejszego męża Koleżanki z Roku zapamiętałam, bo był dosyć „zasadniczy”. Bałam się każdego z egzaminów, ale jak już zasiadałam w ławce i podano treść zadań, stres gdzieś mijał i potrafiłam skupić się na opracowaniu odpowiedzi. Pierwszy egzamin z biologii odbył się 2 lipca, o godz. 15.00. Podano trzy tematy i należało jeden z nich wybrać i opisać. Ja wybrałam temat związany z obiegiem azotu w przyrodzie. Mieliśmy chyba trzy godziny na opracowanie zadania. Matematykę zdawałam następnego dnia o tej samej porze. Było kilka zadań z różnych działów matematyki. Rozwiązanie ich nie sprawiło mi większego problemu, przecież podobne zadania przećwiczyłam na kursie przygotowawczym. Na trzecim egzaminie także pisemnym z języka angielskiego dano nam do przetłumaczenia na język polski ciekawy tekst o malarzu i jego uczniu. To wszystko działo się w sali wykładowej „budynku zoohigieny” przy Wojska Polskiego 52. Wtedy była to duża, ciemna i ponura amfiteatralna sala z niewygodnymi i skrzypiącymi ławkami, co potęgowało stres związany ze zdawaniem egzaminów. Dzisiaj jest tam Collegium Rungego, najbardziej reprezentacyjne miejsce Uniwersytetu Przyrodniczego w niczym nie przypominające wnętrza starego budynku. Gdy przejeżdżam tamtędy powraca wspomnienie tamtego wyjątkowego wydarzenia w moim życiu. W następnych dniach w Nowej Zootechnice odbywały się egzamin wstępne. Już nic z tych egzaminów nie pamiętam.



Zmęczona ale pełna nadziei wróciłam z Poznania do domu po miesięcznej nieobecności. Czekałam z uczuciem niepewności na list z informacją o wynikach egzaminów. Pod koniec lipca, pewnego słonecznego dnia zawitał do nas listonosz i powiedział, że ma przesyłkę dla Zosi. Nigdy nie zapomnę tego momentu jak dawał mi do rąk różową karteczkę z Uczelni. Serce mocno biło, z drżącymi rękoma odebrałam z rąk listowego zawiadomienie o przyjęciu mnie na Wydział Zootechniczny WSR w Poznaniu, podpisane przez Prodziekana doc. Mariana Sobocińskiego. Była też informacja, że przyznano mi zakwaterowanie na pierwszy semestr w domu studenckim na Dożynkowej 9 A oraz stypendium żywieniowe. Szczęściu memu nie było końca. Udało się, wyjadę na studia a potem wrócę do domu i na pewno dostanę pracę ze zwierzętami w Chorzowskim ZOO.

.....*Poznań*....., dnia *19 III*..... 19*66* r.

Niniejszym zawiadamiam, że Obywatel (ka) został(a) przyjęty(a) na I rok studiów wyższych na Wydział *Zootechniczny*.....  
Kierunek studiów .....

Zajęcia szkolne rozpoczynają się dnia *1 października*..... 19 *66* r.

Równocześnie informuję, że Obywatelowi(ce) zostało przyznane:

- ~~zasiłek pieniężny,~~
- ~~stypendium stołówkowe,~~
- ~~miejsce w domu studenckim przy ul. .... nr .....~~  
~~w pokoju nr ..... za pełną odpłatnością/za częściową odpłatnością (stypendium mieszkaniowe) \*).~~

Przypominam, że przed wyjazdem do szkoły należy bezwzględnie załatwić sprawy meldunkowe (do Warszawy wymeldowanie okresowe) oraz zwracam uwagę, że przy dokonywaniu wpisu na semestr pierwszy niezbędne będzie okazanie dowodu osobistego (tymczasowego zaświadczenia tożsamości).

Uwaga: poborowi uznani za zdolnych do służby wojskowej (kat. „A” i „C”) obowiązani są niezwłocznie, nie później jednak niż w terminie do dnia 25 września b.r. przedstawić niniejsze zawiadomienie w Wojskowej Komendzie Rejonowej właściwej ze względu na dotychczasowe miejsce zamieszkania.

.....*Sobociński*.....  
Dziekan

\*) niepotrzebne skreślić  
Sw-R/8

PWHDA Bydgoszcz. Zam. Nr 13816/S/Bz.  
WZPPT Włocł. 2260-65-70.190. karton 7 kl. 160 a. f. A-6

Zawiadomienie z WSR w Poznaniu o przyjęciu Tadeusza Szalczyka na Wydział Zootechniczny

### Najtrudniejszy pierwszy rok

Przed wyjazdem na studia, Mama zadbała o nową garderobę dla mnie. Nie było tego dużo, wszystko zmieściłam w jednej walizce, ciepłe ubrania Mama obiecała mi przesyłać w paczce. Opuszczenie domu rodzinnego wcale nie było łatwe. Mamusia płakała, że jadę tak daleko i może nie dam sobie rady. Tatusz martwił się o swoją jedyną córeczkę. Ustaliliśmy, że do domu przyjadę dopiero za trzy miesiące na Święta Bożego Narodzenia. Dostałam od Rodziców pieniądze na opłacenie akademika, stołówki, kupno książek i drobne wydatki. Zaczynałam samodzielne, dorosłe życie nie mając jeszcze skończonych osiemnastu lat.

Po dotarciu do Poznania, 30 września 1966r., znów po długiej męczącej podróży z trzema przesiadkami zostałam ponownie zakwaterowana w domu studenckim A na Dożynkowej 9. Znalazłam się w pięcioosobowym pokoju nr 145 z dwiema Koleżankami z Roku Krysią Janowską i Czesią Ciereszko i dwiema Koleżankami z piątego Roku naszego Wydziału Heleną Wilczek i Dorotą Czernik. Byłyśmy z różnych stron Polski, Czesia z Lubuska, Krysia z Kalisza, Dorotka ze Śląska i Helenka z zielonogórskiego. Dość szybko zaprzyjaźniłyśmy się. O wspólnym życiu w akademiku opowiem w innym miejscu.

Spotkanie organizacyjne w gronie studentów przyjętych na pierwszy Rok Wydziału Zootechnicznego, odbyło się w sali wykładowej Nowej Zootechniki przy Wołyńskiej. Pamiętam ten pogodny dzień i podniecającą atmosferę spotkania. Było radośnie, gwarno jak w przysłowiowym ulu, próbowaliśmy się wzajemnie poznać. Spotkanie prowadzili prodziekan Marian Sobociński i dr Stefan Hoser. O ile dobrze pamiętam na Wydział przyjęto 60-ciu studentów i 20 „wolnych słuchaczy”. Dowiedziałam się, że „wolni słuchacze”, jeśli pozytywnie zaliczą pierwszy semestr dołączają do naszego Roku. Na starcie zostaliśmy podzieleni na trzy grupy: żeńską, męską i mieszaną. Ja znalazłam się w pierwszej grupie żeńskiej. I tak zostało do końca studiów. Na spotkaniu dostaliśmy rozkład zajęć, tekst *Gaudeamus igitur*, wybraliśmy starostę Roku, którą została Majka Nawrocka. Niestety Staroscina po pierwszym semestrze zrezygnowała ze studiów. Wtedy wybraliśmy na starostę Hieronima Sowińskiego, bardzo fajnego, wesołego chłopaka, potrafiącego załatwić wiele spraw w naszym imieniu. Na drugi rok dołączyło do nas siedemnaście osób z wcześniejszego rocznika. Były to osoby po urlopie dziekańskim udzielonym z powodu niezaliczenia chemii organicznej. Zaraz na początku studiów odebrałam z Dziekanatu dwa najważniejsze dokumenty dla studenta: legitymację studencką uprawniającą do korzystania z różnych zniżek i oczywiście indeks o numerze 9564, których strzegłam jak oka w głowie przez całe pięć lat.

Większość z nas pochodziła ze wsi i nowe życie w dużej zbiorowości było dla nas nie lada wyzwaniem. Szukaliśmy bratnich duszy. Ja znalazłam koleżankę w mojej grupie Gabrysię Stepę także z województwa katowickiego, z Piekar Śląskich. Serdecznie zaprzyjaźniłyśmy się. Prawie wszystko robiłyśmy wspólnie.

Oczywiście poszłam na pierwszą inaugurację roku akademickiego. Jak większość dziewcząt byłam skromnie ubrana w granatową spódniczkę mini i prostą, białą bluzeczkę, ten sam strój, jaki miałam na egzaminach maturalnych. Uroczystość odbyła się w auli Uniwersytetu im. A. Mickiewicza i zrobiła na mnie duże wrażenie. Zobaczyłam po raz pierwszy Rektora, Jego Magnificencję Profesora Zbyszko Tuchołkę i dostojny Senat w togach. Przy śpiewaniu hymnu Polski wzruszenie odebrało mi głos. Złożyliśmy ślubowanie. Usłyszałam też, bo śpiewać nie potrafiłam, „*Gaudemus igitur*”. Poczulałam się szczęśliwa, dostałam szansę zdobycia wyższego wykształcenia jako pierwsza kobieta w rodzinie.

I zaczęło się nowe życie w zupełnie innym stylu niż w liceum, prawdziwe studiowanie. Stopniowo poznawałam otoczenie i znaczenie nowych pojęć: semestr, wykład, ćwiczenia, lektorat, kwadrans studencki, kolokwium, zaliczenie, profesor, docent i koszarne słowo na pięć liter SESJA.

W pierwszym semestrze mieliśmy bardzo dużo zajęć, bo aż 39 godzin tygodniowo. Z czterech przedmiotów czekały nas egzaminy, a mianowicie z zoologii i parazytologii, matematyki i statystyki matematycznej, chemii nieorganicznej oraz z fizyki, z pozostałych przedmiotów oczywiście były zaliczenia.

Bardzo przyjemnym przedmiotem była zoologia i parazytologia. Wykładał go legendarny ornitolog Profesor Jan Sokołowski zaś ćwiczenia mieliśmy z dr Zdzisławem Oko i mgr Zdzisławem Klejnatowskim. Nauka zoologii odbywała się w przyjaznej atmosferze. Pozostało mi w pamięci jedno z wesołych wydarzeń. Po wykładzie o tasiemcach, wielce zdenerwowana koleżanka przyniosła na ćwiczenia z zoologii puszkę z makrelą i pełna emocji oznajmiła Panu Magistrowi, że w tej puszcze na pewno jest tasiemiec. Ten spokojnie obejrzał zawartość i oznajmił, że to tylko pozostałości po kręgosłupie ryby. Matematykę i statystykę mieliśmy z mgr Marianem Przybylakiem. Dla wielu studentów uczenie się tego przedmiotu było drogą przez mękę, szczególne trudności mieli ci, którzy chodzili do techników rolniczych. Wykłady i ćwiczenia z chemii nieorganicznej prowadził dr Zygmunt Winowski. Fizykę mieliśmy z mgr Jerzym Wierszyckim. Koleżanki z innych wydziałów mówiły nam, że mamy szczęście, bo udało się nam uniknąć zajęć z bardzo wymagającym fizykiem, jakimi był Profesor Szczęsny Gnatowski. Wspominki o naszych wykładowcach ujęłam w odrębną część nazywając ją „Wspomnienia o „niepowtarzalnych” – subiektywne portrety nauczycieli akademickich.”

Zajęcia odbywały się w różnych miejscach na terenie Poznania. Zoologię i chemię mieliśmy na Golęcinie. Na wykłady z matematyki i fizyki a także na lektorat z języka rosyjskiego jeździliśmy na Różaną na Wildzie, ale ćwiczenia z fizyki mieliśmy w Collegium Chemicum UAM na Grunwaldzkiej. Niektóre zajęcia mieliśmy na Wołyńskiej w Nowej Zootechnice. Na studium wychowania fizycznego jeździliśmy na salę gimnastyczną na Dąbrowskiego, na boisko przy Puławskiego lub na pływalnię, którą uwielbiałam, na Chwiałkowskiego. Jak było coś do załatwienia w Dziekanacie trzeba było jechać do siedziby Rektoratu na Dąbrowskiego. Rozpoczynaliśmy wykłady lub ćwiczenia wcześniej rano i często kończyliśmy późnym wieczorem. Biegaliśmy z miejsca na miejsce umęczeni i głodni, aby wszędzie zdążyć na czas. Nie opuszczałam wykładów, bowiem często sprawdzano obecność i nie chciałam nikomu podpaść. Poza tym miewaliśmy dużo tzw. „okienek”.

Pomimo, że miałam wykupione wyżywienie na stołówce na Dożynkowej nie zawsze mogłam zdążyć na obiad. Czasami chodziłam do baru „Sosenka” obok akademika Przylesie na gorącą, smaczną bułkę z parówką i musztardą; niekiedy wstępowaliśmy na herbatę lub kawę do stale zatłoczonego barku na terenie Kolegium Cieszkowskich. Było dużo kolokwiów, szczególnie z chemii nieorganicznej, dlatego też okienka wykorzystywaliśmy do nauki i pisania ściąg. Nota bene robiłam liczne ściągi, z których jednak ze strachu nie potrafiłam skorzystać. Jediną zaletą tej pisaniny było utrwalanie wiadomości. Warto przypomnieć, że zajęcia odbywały się przez sześć dni w tygodniu. Jeden dzień w tygodniu bywał trochę luźniejszy. W gronie dziewcząt miałyśmy całonocne zajęcia na tzw. „garach” na studium gospodarstwa domowego, w tym czasie chłopacy mieli „wojsko”. Uczyłyśmy się głównie szycia i przygotowywania posiłków. Uszyłam fartuszek i spódniczkę. W moim domowym menu do dzisiaj są pyszne ciasteczka półfrancuskie z jabłkami, których nauczyłam się tam wypiekać.

Nadeszły Święta Bożego Narodzenia i nareszcie pojechałam do domu na kilka dni, aby chwilę odetchnąć od tego „kieratu”. Z mojego przyjazdu chyba najbardziej ucieszył się nasz piesek Tarzan, nie odstępował mnie ani na krok. Po feriach zabrałam się do intensywnej nauki. Zdawałam sobie sprawę, że nieuzyskanie zaliczenia lub niezdanie któregokolwiek egzaminu było jednoznaczne ze skreśleniem z listy studentów i byłby to koniec marzeń o pracy w ZOO. Pierwszym sprawdzianem tego czy nadaję się do studiowania były zaliczenia. Nie mam jakichś szczególnych wspomnień z tych wydarzeń, chyba udało mi się zdobyć zaliczenia bez większych problemów. Natomiast bardzo dobrze wryła mi się w pamięć pierwszą SESJA bo była jedną wielką nerwówką. W akademiku nastała atmosfera wkuwania i cisza, pokoje nauki przepełnione, wszelki kąci na korytarzach pozajmowane. Wprawdzie był jeden sposób, aby łagodzić stres, a mianowicie systematyczne uczenie się przez cały semestr, ale nie znałam takiej osoby, której by się to udało. Miałam ambicję uzyskać wymarzone stopnie, trójeczki ze wszystkich czterech przedmiotów.

Pierwszy egzamin zdawałam z mojego ulubionego przedmiotu zoologii i parazytologii przed Profesorem Janem Sokołowskim. Pamiętam oto taką sytuację. Profesor na ostatnim wykładzie wybierał kto będzie u niego zdawał egzamin a kto u mgr Zdzisława Klejnatowskiego. Każdy oczywiście chciał zdawać u Mistrza. Odliczał jeden, dwa, trzy cztery i piąty zdaje u mnie. Mnie się udało, byłam „piątą”. Bardzo dobrze przygotowałam się ale i tak nie byłam pewna czy odpowiem na wszystkie pytania. Na egzaminie Profesor zadając pierwsze pytanie uśmiechnął się zachęcająco, stres gdzieś zniknął i mogłam popisać się moją wiedzą. Dostałam ocenę „dobry” czyli powyżej oczekiwań. Dodało mi to skrzydeł i upewniłam się, że warto zakuwać. Na drugim egzaminie z chemii i trzecim z matematyki także uzyskałam ocenę dobry. Sporo osób miało kłopoty z zaliczeniem zarówno chemii jak i matematyki. Do tej pory szło mi świetnie ale jeszcze miałam przed sobą egzamin z fizyki, z przedmiotu, którego po prostu nie lubiłam i czułam, że już tak łatwo nie będzie. Egzaminator, Pan Magister Jerzy Wierszycki po wysłuchaniu moich słabiutkich odpowiedzi poprosił o indeks. Drżącą ręką, gotowa na dwójkę podałam go, ale On zobaczywszy na karcie egzaminacyjnej trzy oceny „dobry”, odłożył indeks i powiedział do mnie czule: dziecko idź jeszcze pouczyć się i wróć o dziewiątej rano we wtorek. Z pewnością gdybym egzamin z fizyki zdawała jako pierwszy skończyłoby się jego oblaniem. Działo się to w tłusty czwartek. Wieczorem tego dnia koleżanki z pokoju wybierały się na fajf do Nurtu. Namawiały mnie abym poszła z nimi na zabawę ale nie miałam ochoty. Wzięłam się ostro do nauki. Bardzo pomocnym mi w uczeniu się fizyki był pożyczony od koleżanki skrypt Szczęsnego Gnatowskiego „Fizyka dla studentów wyższych szkół rolniczych”. Przystudiowałam go „od dechy do dechy”. Na powtórnym spotkaniu Pan Magister zapytał mnie tylko o budowę lunety astronomicznej i wzór na powiększenie obrazu. Na szczęście znałam odpowiedź i zdałam fizykę na dostateczny. Wtedy cieszyłam się dużo bardziej niż z otrzymanych czwórek na pozostałych egzaminach. Siódmego lutego 1967r.- szczęśliwie zakończyłam pierwszy semestr! Byłam pewna, że gorzej już nie będzie. Tego dnia wieczorem koleżanki poszły na podkoziołek do Przylesia, a ja padłam ze zmęczenia, nie miałam siły na zabawę, szczęśliwa zasnęłam jak kamień. Tak więc końcówkę karnawału 1967 roku zdecydowanie poświęciłam nauce. Nabrałam pierwszego doświadczenia jak przygotowywać się do egzaminów. Zasłużyłam na ulubioną nagrodę, wyjechałam odreagować stresy na kilka dni do domu. Później starałam się nie panikować i zdawać część egzaminów przed sesją,



wchodzić na egzamin jako jedna z pierwszych. Moje Koleżanki Gabrysia, Krysia i Czesia także pomyślnie zaliczyły pierwszy semestr, jednak kilkanaście osób z Roku odpadło ze studiów, nawet ich nie zdążyłam bliżej poznać i zapamiętać. Przede mną była jeszcze długa droga setki godzin wykładów i ćwiczeń, dziewięć semestrów, wiele kolokwiów, sześć nerwowych sesji, 25 egzaminów, cztery praktyki i praca magisterska, zatem całe mnóstwo wydarzeń.

Zaraz po powrocie z domu do Poznania, po przerwie semestralnej spotkała mnie bardzo przykra niespodzianka. Otóż czekało na mnie zawiadomienie od kierowniczkii bloku A, że muszę szybko opuścić pokój, bo zakwaterowanie miałam przyznane tylko na jeden semestr. Podobne zawiadomienie otrzymały Czesia i Krysia, koleżanki z mojego pokoju. Ogarnęło nas przerażenie, Pani Kierownik na nasze gorące prośby była niewzruszona. Nie potrafiłyśmy szybko znaleźć żadnej kwatery na mieście. Ktoś poradził nam idźcie do Dziekana Sobocińskiego, On na pewno coś wymyśli. Pojechałyśmy do Katedry Anatomii Zwierząt z prośbą o rozmowę z Panem Dziekanem. Był na miejscu i przyjął od razu trzy szczerze „zapłakane sierotki”. Czesia swoim wyglądem wciąż przypominała dziewczynkę i płakała najmocniej. Dziekan wysłuchał nas i wyraźnie wzruszył się naszymi prośbami. Powiedział, że sprawę załatwi i kazał spokojnie wrócić do akademika i dalej pilnie uczyć się. Nigdy więcej nikt nie próbował nas wyrzucić z naszego domu, kochanego bloku A.

W drugim semestrze mieliśmy trochę lżej, bo tylko 29 godzin zajęć tygodniowo. Egzaminami kończyły się chemia organiczna, anatomia i botanika.

Chemia organiczna okazała się dość trudnym przedmiotem. Wykłady i ćwiczenia nadal prowadził dr. Winowski. Trzeba było uczyć się bardzo długich wzorów związków organicznych. Wszystkich ogarniał strach spowodowany doświadczeniem poprzedniego rocznika. Fama niosła, że szesnaście osób nie zaliczyło tego przedmiotu i poszło na urlop dziekański, co później okazało się prawdą, osoby te dołączyły do nas.

Anatomię wykładał doc. Marian Sobociński. Przedmiot był trudny, obejmował szeroki zakres wiadomości. Szczególnie utkwiły mi w pamięci ćwiczenia z anatomii w prosektorium w Starych Cieszkowskich, to była prawdziwa droga przez mękę. Panował tam trudny do zniesienia, drażniący zapach formaliny, w której leżały zakonserwowane zwłoki zwierzęce, pies, świnia a także różne szczątki zwierząt. Czterogodzinne ćwiczenia rozpoczynały się popołudniami o 16.15. Szczególnie wiosną w piękne słoneczne kwietniowe i majowe dni nikomu z nas nie chciało się wchodzić do ponurych pomieszczeń prosektorium. Nie umiałam przywyknąć do widoku zwłok. Zaczynałam wątpić czy dobrze wybrałam zawód. Byłam bliska rezygnacji ze studiów, ale pan mgr Szymon Godynicki wybił mi to z głowy.

Botanikę i fizjologię roślin prowadził Profesor Nowiński. Zajęcia odbywały się w starym baraku przy ul. Wojska Polskiego. Miło wspominałam wycieczkę mojej grupy w ramach ćwiczeń z botaniki na Dziewiczą Górę koło Czerwonaka. Uczyliśmy się rozpoznawania roślin i poszukiwaliśmy roślin objętych ochroną. Znalazłam na łące ciekawe kwiatki, które okazały się być storczykami, objętymi ścisłą ochroną. Botanika obejmowała obszerny zakres materiału, na szczęście dobrze opisanego w dość drogim jak na moją kieszeń, podręczniku Konstantego Steckiego „Botanika dla Wyższych Szkół Rolniczych”. Każdy z nas musiał opracować zielnik roślin i z nim wstawić się na egzamin z botaniki.

Przez cały pierwszy rok mieliśmy lektorat z języka rosyjskiego w wymiarze czterech godzin tygodniowo z Panią mgr Janiną Witkowską. W naszych czasach nauka języków obcych była traktowana po macoszemu. Mając nikłą nadzieję na wyjazdy zagraniczne i brak kontaktów z cudzoziemcami nie przykładaliśmy się do nauki języków. Pani mgr Witkowska miała nie lada zadanie, bardzo chciała chociaż trochę podszkolić nas w mowie. Mnie ta nauka bardzo przydała się, gdy po trzecim roku wyjechałam do Woroneża. Przekonałam się na własnej skórze, że jednak znajomość języków obcych to ważna sprawa.

Druga sesja nie była już taka nerwowa, były tylko trzy egzaminy, lepiej zaplanowałam ich terminy. Chemię organiczną zdawałam w pierwszym możliwym podejściu i uzyskałam ocenę dobry. Na przygotowanie się do egzaminu z anatomii, którego obawiałam się, miałam całe dwa tygodnie, zakuwałam dniami i nocami. Egzamin ten był podzielony na trzy części: kości, układy i część praktyczna w prosektorium. Niespodziewanie poszedł mi znakomicie, dostałam bardzo dobry, to była moja pierwsza piątka z egzaminu w indeksie. Byłam dumna, że dostałam piątkę od Pana Dziekana Docenta Sobocińskiego. Szczęśliwa wyjechałam na kilka dni do domu. Wtedy naprawdę wypoczęłam, chociaż fizycznie trochę popracowałam przy sianokosach.

Całe wakacje po pierwszym roku miałam zajęte. Lipiec spędziłam na praktyce mechanizacyjnej a w sierpniu robiłam zielnik i co ważniejsze uczyłam się botaniki. Egzamin zdałam na dobry pierwszego września a za dwa dni w niedzielę pojechałam do Brodów na praktykę semestralną. Moje koleżanki Gabrysia, Krysia i Czesia także szczęśliwie zaliczyły drugi semestr. Pamiętam, że kilka osób we wrześniu, jeździło na Uczelnię na egzaminy poprawkowe zwłaszcza z chemii. Skończył się najtrudniejszy pierwszy rok, pełen wrażeń, zaliczyłam go dużo lepiej niż marzyłam.

Pozostałe wspomnienia z okresu studiów na WSR ze względu na ich wielowątkowość podzieliłam na kilka części, a mianowicie wspominki: o władzach uczelni i kadrze akademickiej, z życia w akademiku, z praktyk oraz o tym jak pisałam pracę magisterską.

### **Władze mojej Alma Mater**

Wiadomo, najważniejszą postacią na uczelni był rektor. Przez całe pięć lat funkcję tę piastował Jego Magnificencja Profesor dr hab. Zbyszko Tuchołka, którego widywałam tylko na inauguracjach roku akademickiego i na absolutoriach. Zapamiętałam Go jako majestatyczną postać w todzie z berłem, nigdy nie miałam okazji spotkać w normalnym stroju. Wykładał chemię rolną na Wydziale Rolnym i cieszył się dobrą opinią koleżanek z „Rolnego”. Mówiły o Nim, że to sympatyczny człowiek. W naszym studenckim środowisku głośno o Nim było wiosną 1968 roku w związku z wydarzeniami marcowymi. Mówiono, że zdecydowanie stanął w obronie młodzieży uczestniczącej w manifestacjach. Dla nas „szeregowych” studentów najważniejszymi przedstawicielami władzy uczelnianej byli dziekani Wydziału. Gdy rozpoczynałam naukę dziekanem Wydziału Zootechnicznego był Profesor Jerzy Zwoliński a od roku 1969/70 funkcję tę pełnił Docent Ryszard Graczyk. Z dziekanami mieliśmy kontakt sporadycznie. Na co dzień opiekę nad nam roztaczali prodziekani, do których oczywiście zwracaliśmy się przez „Panie Dziekanie” i to oni w istocie uosabiali władzę uczelnianą. Przede wszystkim dokonywali tak oczekiwanych wpisów do indeksu, jak np.: „Zaliczam I semestr

roku akad. 1966/67”. Do prodziekanów chodziłam z prośbą o pomoc w różnych sprawach. Przez pierwsze trzy lata studiów naszym prodziekanem był Docent Marian Sobociński. Był elegancki, szarmancki i bardzo opiekuńczy. Pamiętam Go w podwójnej roli jako prodziekana i jako nauczyciela akademickiego. Na czwartym i piątym roku nauki funkcję prodziekana piastował Docent Zdzisław Śliwa, który także był naszym wykładowcą. Zupełnie inny od poprzednika, uosobienie władzy, barczysty brunet, stale poważny, wzbudzający respekt. Okazał się być człowiekiem o dobrym sercu i życzliwym studentom Prodziekanem. W pracach Rady Wydziału, uczestniczyli także wybrani studenci, z naszego Roku byli to Krysia Janowska z ramienia ZMS i Roman Skorupka z ZMW. Prawdę powiedziawszy zwykli studenci, tacy jak ja niewiele interesowaliśmy się funkcjonowaniem władz uczelnianych. I jeszcze parę słów o paniach z Dziekanatu. Kierowniczką była Pani Janina Kozal, nazywana przez nas Panią Janeczką. Bardzo sympatyczna ocieplająca wizerunek Dziekanatu, zawsze potrafiła doradzić co zrobić. Dziwiliśmy się jak ona to robi, że zna wszystkich studentów po imieniu. Nawet po wielu latach po studiach, gdy ją spotkałam odezwała się do mnie Pani Zosiu i zrobiło mi się bardzo miło. Razem z Panią Janeczką pracowała Pani Lodzia, przesympatyczna i uczynna młoda osoba. Do grona wydziałowych władz zaliczaliśmy też kierowników katedr.

### **Golęcín, Wołyńska, Ogrody ...**

Dzisiaj na poznańskim Sołaczu i Golęcínie zwracają uwagę nowoczesne budynki i odrestaurowane zabytkowe obiekty, tonące w dobrze utrzymanej zieleni, należące do Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu. Dominuje nad nimi Collegium Maximum z siedzibą Rektoratu UP a pomnik Siewcy nawiązuje do tradycji polskiego rolnictwa. Aż trudno sobie wyobrazić, że pięćdziesiąt lat temu, w czasach mojej nauki na WSR, przy skrzyżowaniu ulic Wołyńskiej z Wojska Polskiego, na polu doświadczalnym Uczelni rosło zboże i koszone go kombajnami zbożowymi Vistula, nowoczesnymi naówczas, a dzisiaj zabytkami techniki. Szkoła dysponowała rozproszonym, niefunkcjonalnym zasobem lokalowym w wielu miejscach Poznania. Rektorat i dziekanaty WSR mieściły się na ul. Dąbrowskiego 159. Katedry: Zoologii, Botaniki, Rybactwa, Anatomii, Ekonomiki Produkcji Zwierzęcej znajdowały się w Collegium im. Cieszkowskich. Także na terenie Golęcína mieściły się Katedra Łąkarstwa, Chemii Ogólnej i Chemii Rolnej. Katedry Fizyki i Matematyki, jak też studium języków obcych były na Różanej. Na Wołyńskiej w Nowej Zootechnice mieściły się katedry Ogólnej i Szczegółowej Hodowli Zwierząt a obok w budynku fizjologii Roślin, najpiękniejszym obiekcie naszej Szkoły katedra Fizjologii Zwierząt oraz Mikrobiologii Rolniczej. Katedra Zoohigieny mieściła się w starym mocno zniszczonym budynku dzisiejszym Kolegium Rungego. Także obok budynku Zoohigieny w bardzo starym, domku była Katedra Pedagogiki. Przy skrzyżowaniu ulic Wojska Polskiego i Wołyńskiej także w nieistniejącej dzisiaj willi mieściła się Katedry Hodowli Roślin. Wyjątkowo nowoczesną bazą dydaktyczną, jak na tamte czasy, dysponowała Katedra Maszynoznawstwa Rolniczego przy Wojska Polskiego 50. Zatem dużą część czasu zajmowało studentom przemieszczanie się pomiędzy różnymi miejscami zajęć.

W zakładach doświadczalnych w Swadzimiu i Złotnikach odbywały się zajęcia praktyczne a na praktyki rolnicze studenci jeździli do zakładów doświadczalnych w Brodach Poznańskich, Dłoni, Gorzynie i Przybrodzie oraz do przodujących gospodarstw rolnych w kraju.

Pozwolę sobie poczynić następującą dygresję. Nasze pokolenie naprawdę może zazdrościć obecnemu pokoleniu młodzieży łatwego dostępu do informacji. Kiedy w młodości czytałam książkę „Powrót z gwiazd” Stanisława Lema, w której Autor snuł wizję książek bez papieru, „optonów”, „lektionów”, „troinów”, w najśmielszych marzeniach nie przypuszczałabym, że ludzkość doczeka się kindla, a studenci będą powszechnie korzystać z laptopów i uczyć się zdalnie przez internet. Swoją drogą bardzo spodobało mi się późniejsze stwierdzenie S. Lema „dopóki nie skorzystałem z Internetu nie wiedziałem, że na świecie jest tyle idiotów”. Nasi nauczyciele w porównaniu z dzisiejszymi warunkami, dysponowali skromnym zasobem środków dydaktycznych. Najczęściej posługiwali się tablicą i kredą, rzutnikami przeźroczy, tablicami poglądowymi i naturalnymi eksponatami. Słowo było najważniejszym środkiem przekazu wiedzy. Może dlatego dobrze zapamiętałam nauczycieli obdarzonych darem przemawiania.

## **Na Dożynkowej 9**

Zapewne każdy, kto w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku mieszkał w akademiku na Winogradach przy Dożynkowej darzy szczególnym sentymentem i miło wspomina tętniące życiem nowoczesne, na ówczesne czasy, osiedle akademickie. Tworzyło go siedem modernistycznych czterokondygnacyjnych bloków krytych rdzawą dachówką, zgrabnie rozmieszczonych w terenie<sup>1</sup>. W blokach A, C, E, mieszkali studenci Wyższej Szkoły Rolniczej, w bloku B żacy Wydziału Prawa UAM a w bloku D i F studenci z Wyższej Szkoły Ekonomicznej. Blok G, był wspólnym obiektem wszystkich mieszkańców osiedla. Mieściły się w nim: wspólna stołówka, kino Kosmos i legendarny klub Nurt, bar mleczny, mały sklepik spożywczy, poczta i studencka spółdzielnia pracy „Kasia”. Pomiedzy blokami biegły wąskie uliczki obsadzone drzewami. Było tam też boisko do siatkówki, szachownica na betonie do gry w szachy. Za ostatnimi blokami A, C, D rozpościerał się krajobraz wiejski. Na polach uprawiano zboża, warzywa i smakowite truskawkami. Miedze śródpolne podczas letnich sesji egzaminacyjnych bywały dobrym miejscem do wkuwania i opalanie się. Dzisiaj na tych polach stoi Osiedle Przyjaźni. Połączenie z centrum miasta zapewniały tramwaje linii nr 15 i 16. Najbliższy kościół pod wezwaniem Niepokalanego Serca Najświętszej Marii Panny znajdował się blisko w drewnianym baraku na ul. Warzywnej. Nie daleko od domów studenckich, na ulicy Winogrady i na Owsianej znajdowały się różne sklepy a nieco dalej park na Cytadeli. Na osiedlu panowała serdeczna atmosfera, jeden drugiemu chętnie pomagał. Na Dożynkowej moja codzienność była całkiem przyjemna, dlatego to miejsce zawsze przywodzi mi na myśl tylko miłe wspomnienia a te złe gdzieś uleciały.

Przez całe pięć lat studiów mieszkałam w żeńskim akademiku 9 A. Tutaj przeżyłam pięć wspaniałych młodzieńczych lat. Jak już wspominałam na pierwszym roku zostałam zakwaterowana w pokoju nr 145 z koleżankami z roku Krysią Janowską i Czesią Ciereszko oraz z studentkami piątego roku naszego Wydziału Dorotką Czernik i Helenką Wilczek. Początek życia w akademiku był dla mnie trudny. Byłam bardzo młoda, nie miałam jeszcze osiemnastu lat, dopiero wkraczałam w dorosłość i samodzielne życie. Znalazłam się daleko od

---

<sup>1</sup> Osiedle studenckie na Dożynkowej stanowiło część większego kompleksu wybudowanego na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych zwanego Osiedlem Owsiana – Dożynkowa. Jego twórcami byli Zbigniew Skupniewicz i Władysław Jezierski, poznańscy architekci stylu modernizmu.

Rodziców w obcym środowisku pełna obaw czy podołam nowym wyzwaniom, żyłam w ciągłym stresie. Wieczorami, gdy nikt mnie nie widział popłakiwałam z tęsknoty za rodzinnym domem. Byłam bliska załamania. Któregoś dnia Helenka dostrzegła moje przygnębienie i szczerze porozmawiałyśmy. Pocieszyła mnie, dodała mi otuchy, coś we mnie zmieniło się. Od tego momentu trochę bardziej optymistycznie patrzyłam na życie studenckie. Jestem Jej wdzięczna, że pomogła mi przezwyciężyć lęki. Wkrótce po tym, poszłam z Gabrysią na otrzęsiny żaków, które odbyły się w sali reprezentacyjnej Domu Rzemiosła. Spodobał nam się cały obrzęd i zabawa, na której królowały rytmy big – beatu. Jakżeż fantastycznie brzmiał wspólnie zaśpiewany hit Czerwonych Gitar „Już za rok matura”. Przydarzył mi się mały wypadek. W wielkim tłoku na parkiecie ktoś mocno nadepnął mi na palec lewej stopy i konieczna była pomoc lekarska. Ale, co tam, jak mówią złego i diabli nie biorą. Pewnie poczułam się dopiero po zaliczeniu pierwszej sesji. Zaczęłam wychodzić z koleżankami na fajfy do Nurtu, z Gabrysią zaczęłyśmy poznawać piękne miasto. Na drugim roku studiów, po praktyce semestralnej krótko mieszkałam w pokoju 248 z Gabrysią Stępą, Krysią Janowską i dwiema dziewczynami z Wydziału Rolnego: Gerdą Borysiak i Anią Marczyńską. Razem przeżywałyśmy wydarzenia marcowe 1968. Na trzecim roku ponownie trafiłam do pokoju 145. Mieszkałam tam z koleżankami z roku Gabrysią Stępą, Zosią Klajną, Jadzią Jadowską i o dwa lata starszą Helenką Konecką też z Zootechniki. Chyba stworzyłyśmy grupkę kujonów, w tym składzie dostałyśmy nagrodę za „najlepiej uczący się pokój” w naszym akademiku.

Najmilej wspominam ostatecznie dwa lata spędzone w pokoju 127. Mieszkałam tam z Gabrysią oraz dwiema koleżankami z Wydziału Technologii Rolno - Spożywczej: Danusią Cierniewską z Krotoszyna i Bożenką Gralewską z Gorzowa Wielkopolskiego. Obok nas w pokoju 128 zamieszkały Maryla Anioł, Czesia Ciereszko, Krysią Janowska i Ania Liberska. Stworzyłyśmy bardzo zgraną grupę przyjaciółek. Razem żyło się nam bardzo dobrze. W poprzednich latach też było sympatycznie, ale mieszkanie w pięcioosobowym pokoju z piętrowymi łózkami było po prostu trudniejsze.

W każdym składzie współlokatorek z którymi mieszkałam starałyśmy się o to, aby nasze „gniazdko” było przytulne. W pokojach miałyśmy do dyspozycji dwie szafy wnękowe. Najcenniejsze rzeczy trzymałyśmy w walizkach pod łózkami. Zawsze na wyposażeniu pokoju znajdował się nieduży kwadratowy stolik i jedno lub dwa krzesła. Każda z nas najczęściej siadywała na swoim łóżku. Zimą miałyśmy dodatkowo zmyślne urządzenie: lodówkę (siatkę z jedzeniem wywieszaną za oknem). W soboty, chyba raz na miesiąc, odbierałyśmy świeżą pościel i lniany kolorowy obrusik na stolik. Była wtedy okazja do większych porządków w pokoju. Na podłogach był niemalowany, naturalny parkiet. Jestem pewna, że każda dziewczyna z naszego akademika zapamiętała jak co jakiś czas mozolnie czyściła parkiet metalowymi wiórami i pastowała go. Po takim zabiegu, założeniu świeżej pościeli i czystego obrusu robiło się w pokoju całkiem przyjemnie.

Nasze pokoje dekorowałyśmy modnymi wtedy i praktycznymi makatkami słomianymi wieszając je nad łózkami, na których przymocowywałyśmy ozdoby i pamiątki. W pokoju 127 miałyśmy akwarium z mieczykami i gupikami. Urządził go Tadeusz, mój chłopak. Pamiętam częste wizyty koleżanek, aby pooglądać kolorowe rybki. Korytarze pełniły rolę swego



forum, miejsca do wygłaszania komunikatów. Gdy któraś z dziewczyn chciała coś ogłosić głośno wołała na korytarzu, n.p.: „sprzedam obiad”, „oddam kolację”.

Na parterze, w holu, na ścianie przy portierni znajdowały się skrzyneczki na listy z numerami pokoi. Zaglądałyśmy do nich z nadzieją na listy, bo prawie dla każdej z nas to była jedyna forma komunikacji na odległość. Pamiętam, jak żywiej zabijało moje serce, gdy zobaczyłam kopertę wypisaną charakterem mojego Tatusia (Mamusia pisywała rzadziej). Pomimo, że na Dożynkowej żyło mi się dobrze, zawsze tęskniłam za Rodzicami.

W całym budynku był tylko jeden dostępny dla studentek telefon w portierni. Bardzo rzadko z niego korzystałyśmy. Telefony nie służyły do pogaduszek a poza tym połączenia międzymiastowe były kosztowne.

Na całe osiedle była jedna wspólna stołówka. Na pierwszym roku chodziłam codziennie do stołówki na wszystkie posiłki. Jedzenie nie było złe, można było się najęść do syta. Na śniadanie zawsze była zupa mleczna, najczęściej owsianka lub ryżowa, którą można było jeść do woli, chleb też do woli a porcja śniadaniowa na talerzyku. Do dzisiaj gdy jem owsiankę z mlekiem moje myśli biegną do smacznej stołówkowej zupy na Dożynkowej. Także na obiad zupy nie były porcjowane. Na zupę przychodzili także studenci nie posiadający tzw. bonów obiadowych. Pod koniec studiów chodziłam tylko na obiady, porcje śniadaniowe i kolacje przynosiła dyżurna dla całego pokoju. Dzisiaj myślę sobie, że to władze uczelni prowadziły politykę student nie może być głodny, zupę i chleb powinny być dla każdego.

W czwartki i w niedzielę w godzinach od 16 do 20 tej był czas na odwiedziny płci brzydkiej. Mogli do nas przychodzić koledzy. Do mnie przychodził Tadeusz. Głównym miejscem naszych spotkań był klub Agrykola. Tam też razem uczyliśmy się. Ważnym miejscem dla mnie był pokój nauki, zwłaszcza na początku studiów, gdzie przygotowywałam się do kolokwium i egzaminów. W trakcie sesji trudno było tam o wolne miejsce. Lubię uczyć się wcześniej rano, jestem skowronkiem. Wstawałam o czwartej rano i szłam uczyć się do pokoju nauki. Było cicho, samotnie i wtedy najlepiej mi się uczyło. Do większości egzaminów uczyłam się wspólnie z Gabrysią. Lubiłyśmy zadawać sobie pytania, pisać odpowiedzi i sprawdzać czy dobrze odpowiedziałyśmy.

Życie w naszym babińcu nie było nudne. Dziewczyny swobodnie poruszały się w domowych sukienkach, prawie każda miała jakąś podomkę, nosiło się wałki na głowie. W kuchenkach i na korytarzach kwitło życie towarzyskie. Przed odwiedzinami facetów było sprzątnie, gotowanie i strojenie się.

Oddzielne miejsce w moim sercu zajmują portierzy: Pani Jankowska, Pani Kostrzewa tudzież Pan Józiu. Dbali o to, abyśmy były grzecznymi panienkami, chociaż i tak takimi byłyśmy. Pilnowali porządku i strzegli, aby progu akademika nie przekraczali przypadkowi chłopacy. Pocieszali i chętnie pomagali nam w różnych codziennych sprawach. Dało się zauważyć, że czują się za nas odpowiedzialni. I jeszcze Pan Słabolepszy był naszą „złotą rączką, dobrym wujkiem.

Na zajęcia na Gołęcín przeważnie chodziliśmy pieszo „na szagę” przez „chęcchy” i dalej Szydłowską do Wołyńskiej i Wojska Polskiego. Chęcchami nazywaliśmy (po poznańsku

miejsce zaniedbane) teren, na którym obecnie jest skrzyżowanie Księcia Mieszka I i Słowińskiej. Gdy padał deszcz lub było bardzo zimno jeździliśmy tramwajami. Na początku studiów cena ulgowych biletów tramwajowych była bardzo niska, jeden przejazd kosztował 20 gr. Po kilku miesiącach ceny drastycznie podniesiono do 50 gr za przejazd. Pierwszego dnia po podwyżce, a było to zimą 1967 r., wraz z Koleżanką Gabrysią postanowiłyśmy oszczędzać na przejazdach i chodzić tylko pieszo na Gołęcin. Po pierwszej przechadzce na Gołęcin niemiłosiernie zmarzłyśmy, w barku kupiłyśmy sobie pączki po 2 zł za szt. czyli dokładnie tyle samo co zapłaciłybyśmy za przejazd tramwajami. Uznałyśmy, że jednak zimą trzeba jeździć tramwajami i skończyło się nasze oszczędzanie.

Na Dożynkowej panowała serdeczna atmosfera. Mieszkanie w domu studenckim było szkołą dorosłego życia na własny rachunek. Nauczyłam się dzielenia wszystkim co posiadałam z koleżankami, dostosowania własnych potrzeb do potrzeb współlokatorek. Co jakiś czas któraś z nas wychodziła na randkę, wtedy wszystkie angażowałyśmy się, aby dobrze wyglądała. Pożyczałyśmy sobie nawzajem ciuszki. Każda z nas miała ich mało, bo przecież cały swój majątek mieścił się w jednej walizce. Pożyczałyśmy sobie białe bluzki na egzamin. Nie należałyśmy do imprezowiczek ani nie nadużywałyśmy alkoholu. Dużo czasu spędzałyśmy wspólnie na pogaduszkach, rozmowach o wszystkim co nas nurtowało. Gdy tylko był na to czas przygotowywałyśmy sobie korzystając z kuchenki proste przysmaki.

Gdy wychodziłyśmy do miasta, wtedy dla szpanu zakładałyśmy charakterystyczne studenckie białe czapki z daszkiem i zielonym otokiem. Niewiele nam było trzeba do szczęścia nawet pójście do kawiarni na ciastko z kremem lub lody, czy też na naleśniki do baru mlecznego na Placu Wolności było nie lada atrakcją. Spacerując po centrum miasta lubiłam wejść do sklepu z wędlinami, aby zjeść ciepłą parówkę z bułką. Dzisiaj takiego smakołyku już nie kupimy.

Mówiło się wtedy: kto skończył studia a nie mieszkał w akademiku to nie zaznał prawdziwego studenckiego życia. Wspólne przybywanie ze sobą, rzeczywistość życia codziennego, wspólna nauka i zabawa, wspólne radości i smutki sprawiły, że grono koleżanek z którymi mieszkalam stało mi się bardzo bliskie jak rodzina. Gabrysia, Danusia, Bożenka to moje serdeczne przyjaciółki po dziś dzień. Do dzisiaj myślenie o adresie Dożynkowa 9 ożywia moje najczulsze uczucia, bo przecież była to druga po domu rodzinnym ważna przestrzeń życiowa, codzienność przez prawie pięć lat. Żyliśmy tam tak jak tak poetycko ujęła Agnieszka Osiecka w popularnej wówczas piosence „Okularnicy”: „Gnieźdzą się w akademiku, mają każdy po czajniku. I nie dla nich de volaje, i Paryże, i Szanghaje”. Na mojej twarzy bezwiednie pojawia się uśmiech, gdy wracam myślami do akademika i tamtych sześćdziesiątych lat, do lat mojej młodości w różowych okularach.

Wspominając tamte czasy warto nadmienić, że żyliśmy za żelazną kurtyną. Nie dochodziły do nas informacje o tym co działo się na Zachodzie. Tam na dobre rozwijał się bunt młodych przeciwko światu dorosłych, powstał ruch hippisowski, rodził się styl dzieci kwiaty, itp. Do nas, na naszą Dożynkową zachodni styl życia młodzieży jeszcze nie dotarł. Była to chyba jedyna korzyść z żelaznej kurtyny.